Rok 1936. 21 czerwca Nr. 25.

DZWONECZEK

pod redakcją ELI OLESKIEJ

DZIAŁ DLA MŁODSZYCH CZYTELNIKÓW „DZWONU NIEDZIELNEGO"

KWIAT PAPROCI.

— I naprawdę przyszło do nich szczęście, nianiu?

— Przyszło. Ile razy mam ci to powtarzać, Ninko — roześmiała się zagadnięta. — Przed chwilą wam o tem mówiłam.

— Tak, nianiu, ale...

— Spać już, spać. Jutro możemy dalej o tem rozprawiać. Teraz musicie już spać koniecznie. Dobranoc.

Dziewczynki nie protestowały. Ciemne główki posłusznie spoczęły na poduszkach. Zdziwiona nieco i ucieszona niezwykłą uległością wychowanek stara niania okryła je starannie, poczem zgasiwszy światło, wyszła na palcach z pokoju. O, gdyby wiedziała, że posłuszeństwo to było pozorne tylko!

Zaledwie drzwi się za nią zamknęły, niemal równocześnie obie dziewczynki usiadły na łóżeczkach.

— Ninko! Chcę ci coś powiedzieć!

— Czekaj Danusiu, bo i ja tobie. Mam taką myśl cudowną!

— Mów prędko! Może to samo...

— Chodźmy szukać kwiatu paproci. Niania mówiła, że dzisiaj w nocy, w noc świętojańską zakwita. Temu, kto go odnajdzie, szczęście przynosi. Słyszałaś zresztą sama.

Danusia zerwała się z łóżka i podbiegła do siostry.

— O tem samem myślimy, Ninko! Chodźmy, spróbujmy! O, gdyby nam się udało! Moglibyśmy rozdawać szczęście wokoło. Ach! to byłoby cudowne. Tylko, zatrzymała się nagle — gdzie tego kwiatu właściwie szukać należy?

— Na końcu ogrodu widziałam całe mnóstwo paproci. Myślę, że jeżeli gdzie, to tam powinien zakwitnąć, prawda?

— Pewnie. Znajdziesz to miejsce?

— Z pewnością. - Zapomniałyśmy jednak o tem Danusiu, że kwiatu paproci strzegą liczne, okropne straszydła.

Tak. O tem nie myślały zupełnie. Cisza zapanowała przez chwilę. Odważniejsza Ninka pierwsza przerwała milczenie.

— Co tam! Jakoś damy sobie radę. Musimy tylko zdobyć się na odwagę. Boisz się, Danusiu?

Dziewczynka zawahała się.

— Tak — boję się trochę — wyznała szczerze — ale to mnie nie powstrzyma.

Doskonale! Idziemy zatem. Musimy jeszcze pamiętać o tem, że będąc już w posiadaniu kwiatu, należy czekać na miejscu do rana. Szczęście wyjdzie naprzeciw.

Postanowiły wybrać się niezwłocznie. Nadsłuchując wokoło, odziały się śpiesznie, poczem cicho przez okno wysunęły się do ogrodu. Ciemno było zupełnie, tylko gdzieniedzie na wsi, w chałupkach połyskiwały jeszcze światła. Niemiłe uczucie ogarnęło dziewczynki. Niemal bezwiednie pochwyciły się za ręce. Czy nie lepiej zrezygnować z całej tej wyprawy? — przemknęła każdej z nich ta myśl — wrócić! Spać spokojnie, a nie narażać się na Bóg wie jakie przygody. Bo właściwie poco to wszystko.

Jednak żadna nie miała odwagi wyznać tego przed drugą.

— Chodźmy — z wysiłkiem wyszeptała Ninka.

Trzymając się mocno za ręce, zaczęły biec przed siebie. Opanowywał je strach coraz gwałtowniejszy. Biegły coraz prędzej, niemal bez tchu, potykając się w ciemnościach.

— Jesteśmy! — wykrzyknęła nareszcie Ninka. — To tutaj!

Z ulgą opadły na trawę. Przytuliły się do siebie całe drżące.

— To było straszne, Ninko — wyszeptała Danusia.

Ninka opanowała się szybko. Nie podda się wrażeniu. Musi dodać otuchy młodszej siostrzyczce.

— Nic nam się nie stało przecież — zauważyła z pozornym spokojem. — Niania jednak może trochę przesadziła.

— Może to dopiero tutaj, na miejscu, złe duchy strzegą kwiatu paproci. I jak tylko szukać zaczniemy, ujawnią swoją potęgę?

— Nie wiem, Danusiu... może. — Widzisz? Księżyc skrył się za chmury. Nic teraz nie zobaczymy. Musimy poczekać.

Z zapartym oddechem siedziały cichutko. Serca biły im mocno trwożnem oczekiwaniem.

Księżyc wysuwał się powoli...

I nagle... W niespodziewanym jego blasku zalśnił na trawie biały, wysmukły kwiat.

Patrzały, jak oczarowane. Czy może to złudzenie tylko? Taki bliski, tak łatwo dostępny...

Lecz nie... To była rzeczywistość. Z obawą posunęły się ku niemu. Chwila wahania i kwiat znalazł się w ich posiadaniu. Upojone, oszołomione radością powróciły na poprzednie miejsce.

— Czy możliwe, aby on był już nasz? Nasz naprawdę? — pytała Danusia, delikatnie dotykając płatków tego dziwnego, czarodziejskiego kwiatu.

— Zupełnie wierzyć w to nie mogę, zawtórowała Ninka.

— Musimy teraz czekać do rana, prawda Ninko?

— Tak. Och, jak ten czas się będzie dłużył nieznośnie. Chodź, położymy się tu pod tem drzewem.

Umieściwszy kwiat między sobą, dziewczynki ułożyły się wygodnie na trawie. Zmęczone wrażeniami, objęte urokiem tej tajemniczej nocy świętojańskiej, nie odzywały się więcej do siebie. Wpatrzone w usiane gwiazdami niebo, pogrążone w marzeniach... usnęły.

Dzień był już jasny, kiedy zbudziło je wołanie. Ujrzały matkę, pochyloną nad niemi.

— Mamusiu! — wykrzyknęły radośnie, zrywając się z miejsca. Przygarnęły się do niej z pieszczotą.

— Co to ma znaczyć, dzieci? — pytała. — Szukałam was po całym domu.

— Wybrałyśmy się po kwiat paproci, mamusiu.

— Cóż to znowu za pomysł? — Acha... wczorajsze opowiadanie niani... rozumiem. Przecież to bajka tylko. Jakże mogłyście uwierzyć i nabawić mnie tyle niepokoju.

— To nie bajka — stanowczo zaprzeczyła Ninka. Podniosła kwiat z ziemi i z triumfem wysunęła go przed siebie. — Oto jest, mamusiu!

— Ależ to zwyczajny polny kwiat — mimowoli roześmiała się matka.

Dziewczynki spojrzały zdumione. Jakto? Zwyczajny kwiat? — więc wszystko było wyobraźnią tylko? — myślały i smutnie opuściły główki na piersi. — Nie, w głębi duszy niesposób w to uwierzyć. Tylko, że szczęście jakoś nie przyszło...

— — — — —

A jednak było! Dopiero po latach, kiedy poznały świat i ludzi, uświadomiły to sobie wyraźnie. Przyszło bowiem do nich szczęście najgłębsze, najczystsze, prawdziwe szczęście życia, któremu na imię M—a—t—k—a.

Marja Romerówna.

Tajemnice głębin morskich.

(Ciąg dalszy)

Tej nocy złowili inne jeszcze dziwy morskie, a między niemi szczególnego też „polipa“, zwanego przez rybaków włoskich „calamajo“ (c czyta się jak k) czyli „kałamarz“, ponieważ zawiera w sobie ciecz, podobną do atramentu, t. zw. sepję.

„Calamajo“ w przeciwieństwie do ośmiornicy, nie kryje się w skałach, ani w mchu, lecz pływa swobodnie, szukając wszędzie pożywienia. Ciało ma prawie przeźroczyste i tylko lekko jakby zadymione. Dopiero kiedy zostanie podrażniony, staje się kolorowy. W chwili, gdy rybak zobaczył go płynącego niedaleko łódki, wyglądał w świetle lampy jak wielka czerwona plama. Wkrótce zręcznie rzucony oszczep Włocha ściągnął go do łódki, ale kiedy został z wody wyciągnięty, stracił odrazu swoje kolory..

Nazajutrz po nocnym połowie, podróżnik polski przechadzał się w porcie messyńskim po halach targowych. Zobaczył tam całe tuziny takich samych polipów i sepji, leżących w koszach, a sprzedawanych tu jako smakołyki dla biedniejszej ludności. Nawet bardziej poszukiwane i lubiane, niż ośmiornice są sepje czyli „calamaje“ dla lepszego i delikatniejszego smaku. Obok nich zaś całe stosy przeróżnych ryb i rybek wszelkiej wielkości, wyglądu i ubarwienia, czarne, czerwone, srebrne i t. p.

Takie to nieprzebrane bogactwa kryją w sobie wody włoskie, a przecież mimo, iż życie tam — zdawałoby się tanie — ludność z powodu ubóstwa emigruje licznie w obce kraje, nie mogąc się pomieścić w swej ojczyźnie. To było też właściwym powodem wojny z Abisynją, gdyż Włochy chciały sobie zdobyć kolonje w Afryce dla pomieszczenia nadmiaru swej ludności. I teraz, kiedy rzeczywiście Abisynja stała się już częścią państwa włoskiego, podobno całe wioski zamierzają się tam przenieść, wyobrażając sobie, iż posiądą raj. Ale kto wie, czy klimat afrykański i nieprzeliczone plagi w postaci jadowitych komarów, much i tym podobnych owadów, nie zamienią im wymarzonego raju na piekło. Chyba, że wielka kultura Włochów potrafi odmienić złe warunki życia na dobre, wytępiwszy tam przedewszystkiem śmiertelną chorobę, zwaną malarją.

Nie przeniesie się tam jednak pewnie nigdy włoska ludność rybacka, zżyta ze swemi morzami, zatokami i wybrzeżem, ze swemi „pulpami“ i „calamajami“, ze swemi krabami, jeżami i ostrygami, które stanowią dla niej najulubieńsze i najtańsze pożywienie.

A teraz od mało niebezpiecznych ośmiornic włoskich, z któremi tak łatwo radzą sobie rybacy, przejdziemy do ich sióstr, żyjących w głębiach oceanów, jakie opływają wybrzeża Ameryki. Tu już nie wystarczy krucha łódź rybacka, ani wiadro ze szklanem dnem, ani nawet oszczep 5-metrowej długości.

Straszne bywają opowiadania nurków, którzy dla różnych celów opuszczają się w głębiny morskie, sięgając nieraz aż do samego dna oceanu. Na każdym kroku i w każdej chwili czyha tam na nich śmierć straszliwa pod różną postacią.

Oto co opowiada pewien sławny nurek angielski, gdy się raz puścił nawet do niewielkiej głębokości w celu połowu pereł.

Przedewszystkiem musiał wraz z towarzyszami, zapomocą bomb podwodnych zabezpieczyć się przed potwornemi rekinami, czyli żarłaczami. Ryby te wieczyście głodne, rzucają się na wszelką zdobycz i dlatego też — jak wiadomo, ciągną zazwyczaj za okrętami, spodziewając się z nich jakiegokolwiek pożywienia, choćby odpadków kuchennych. Nastraszywszy je wybuchem, zaczął zbliżać się do miejsca, gdzie rozciągała się wielka ławica perłopławców. Nagle uczuł, jakby mu kto ramię ścisnął żelaznym pierścieniem.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Antoś Palica.

Obrazek z życia. Napisał Bronisław Mazowiecki.

(Ciąg dalszy).

— No, ciepłe okrycia niezbędne w taką podróż.

— Mapy i geografję...

— Naturalnie, bez tego nie można. I to także bierzemy ten zeszyt z tylu wiadomościami o Burach.

— Ależ już choćby dlatego, że to dla nas będzie stanowiło pamiątkę, iż właśnie ta rycina z napisem: „Za wolność Burów“ przyspieszyła nasze postanowienie.

— Zapewne, że to się głównie przyczyniło, ale wszystko nie byłoby się na nic zdało, chociaż tak długo marzyliśmy o tem, rwąc się ciągle duszą na tę wyprawę, gdyby nie szczęśliwa okoliczność z końmi.

— Błogosławmyż dzień dzisiejszy, bo gdyby nie jastrząb, który porwał Teklusi z przed proga koguta, nie byłoby gaszenia pożaru na bezludnem polu...

— I gdyby nie ogień w suchej csice, nie bylibyśmy obaj właścicielami wierzchowców, przed któremi Anglicy, pod naczelną komendą lorda Robertsa, będą uciekali, jak na widok kapelusza Cronjego.

— Więc kiedy jedziemy?

— Dziś nie zdążymy z przygotowaniami.

— A do jutra uporamy się?

— Zapewne, że jutro moglibyśmy już ruszyć w drogę.

— Tylko jak będzie z pożegnaniem?

— Jakto, przecież ucieczka z domu potajemnie.

— Tak, ale jednak trzeba jakoś pożegnać się z rodziną przed opuszczeniem domu.

— Słuchaj... jedno długie spojrzenie.

— Tylko zmiłuj się, uważajmy, żeby się z czem w takiej chwili nie zdradzić.

— Będzie ci żal bardzo?

— A tobie?

— No, trochę przykro nam będzie.. Pomyśl, że to na drugi koniec świata, Bóg wie, na jak długo... I to na wojnę...

— „Co tu dużo gadać“. Przecież to za wolność Burów!

— Zwycięstwo Burom!

Ostatnie te słowa rozległy się głośno po pokoju, w którym dotychczas tajemnicza rozmowa dwóch młodzieniaszków toczyła się prawie szeptem.

Aż się zlękli tego wybuchu i Wacek poskoczył ku drzwiom zamkniętym wyjrzeć na korytarz, czy kto z rodziców nie przechodził tamtędy.

Uspokojony, powrócił, poczem zabrano się zaraz do obejrzenia rzeczy, które postanowili wziąć ze sobą w drogę. Niebawem pojechali na gajówkę, żeby wybrać i tam coś niecoś z przyborów do podróży.

Wieczór każdy z nich umyślnie spędził u siebie; Antoś ze swym ojcem i Teklusią, Wacek zaś z rodzicami, rozmawiając długo po kolacji.

Nazajutrz wczesnym rankiem byli już ze wszystkiem gotowi.

W obu domach wiedziano, że dwaj młodzi przyjaciele jadą na cały dzień na daleką wycieczkę dla upamiętnienia, że każdy z nich na równi wybrać się może na przejażdżkę własnym już koniem.

To też zapewnili sobie możliwość oddalenia się z Porąbek bez obawy, by ktoś zaniepokojony dłuższą ich nieobecnością, rozsyłał służbę na poszukiwania.

Opuścili dwór, prawie niczyjej nie zwracając uwagi w chwili, gdy właśnie dziedzic naradzał się ze starym Palicą w ustroniu leśnem, co zrobić ze sporym kawałkiem zagajnika, niszczonym doszczętnie przez gąsienice.

Na śniadanie wstąpili na folwark. Chcieli bowiem przed swą wyprawą ostatniego pożegnać właśnie dziadzię Smólskiego, którego zapał żołnierski dla partyzantki Burów wzbudził w nich postanowienie ucieczki do ich obozu.

(Dalszy ciąg nastąpi)